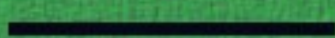


Hans Christian Andersen



DZIECIĘ ELFÓW



POLNY KWIATEK



1908

*** A Distributed Proofreaders Canada eBook ***

This eBook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the eBook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the eBook. If either of these conditions applies, please check with an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. **If the book is under copyright in your country, do not download or redistribute this file.**

Title: Dziecie; elfów; Polny kwiatek

Date of first publication: 1908

Author: Hans Christian Andersen (1805-1875)

Translator: Cecylia Niewiadomska (1855-1925)

Date first posted: December 31 2012

Date last updated: December 31 2012

Faded Page eBook #20121247

This eBook was produced by: David T. Jones, Michal Jablonski & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpCanada.net>

UWAGI DO WYDANIA ELEKTRONICZNEGO

W tekście zachowano oryginalną ortografię i interpunkcję, nawet w przypadkach, gdy różniły się one od współcześnie obowiązujących. Poprawiono jednak kilka błędów, które wyglądały na omyłki drukarskie. Dodano również prostą „okładkę” z racji niezachowania się oryginalnej.

H. ANDERSEN

DZIECIE ELFÓW
POLNY KWIATEK

PRZEKLAD
C. NIEWIADOMSKIEJ

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓLKA
1908

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI.

DZIECIE ELFÓW.
POLNY KWIATEK.

DZIECIE ELFÓW.

Pewna dobra kobieta bardzo pragnęła mieć malenkie dziecko, ale nie wiedziała, skądby je wziąć? Poszła więc do czarownicy i rzekła:

— Tak bym chciała mieć malutkie dziecko, powiedz mi, co tu zrobić, ażebym je miała.

— O! to nietrudno — odpowiedziała czarownica — mogę ci doskonale poradzić. Masz tu ziarno jeczменя, — ale to nie jest takie zwyczajne ziarno, które sieje w polu albo sypia kurom na pokarm; zasadz je starannie w doniczce od kwiatów, a zobaczysz, co z tego będzie.

— Dziękuję — rzekła poczciwa kobieta i zapłaciła jedzą dziesięć groszy, bo tyle to ziarenko kosztowało.

Po powrocie do domu, zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów, i zaraz pokazała się mała roślinka, okryła się pięknymi listkami, a w środku wyrósł kwiat jakis, złotopurpurowy, podobny do tulipana, tylko zamknięty jak paczek.

— Cóż za przeliczny kwiat! — rzekła kobieta, i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili jednak kwiat z wielkim loskotem otworzył się, i w środku, na zielonym dnie kielicha, gdzie zwykle mieści się słupki kwiatowy, stała sobie przeliczna, malenka dziewczynka.

Nazwali ją Odrobinka, gdyż była maluchna, jak młoda pszczołka, tylko daleko zgrabniejsza.

Kobieta wzięła zaraz lupinę orzecha, ażeby w niej urządzić kolebkę dla swego dzieciątka; fijołkowe płatki posłużyły na sienniczek, a jeden płatek róży na kolderkę.

W nocy Odrobinka spała wybornie, a w dzień się bawiła na stole. Dobra kobieta postawiła na nim talerz z wodą, otoczony wiankiem kwiatów, których łodyżki były zanurzone w wodzie; listek tulipana zastępował łódkę, dwa preciki kwiatowe stanowiły wiosła, i Odrobinka pływała sobie po talerzu, od jednego brzegu do drugiego. Slicznie to wyglądało!

Umiała także śpiewać i tak ładnie, że nie można tego opisać.

Jednego razu w nocy, kiedy Odrobinka spała sobie spokojnie w kolysce na stole, przez wybitą szybę wskoczyła do pokoju ropucha. Szkaradne to było stworzenie: ciężkie, grube, mokre — i bardzo ciekawe. Zaraz zauważyła Odrobinkę, śpiącą pod różnym płatkiem.

— Hm, hm, — mruknęła — bardzo ładna zona dla mojego synka.

I razem z kolyską zabrała dziecine, wyskoczyła do ogrodu i zaniósła ją do swego mieszkania.

Znajdowało się ono w czarnym, gęstym błocie nad strumieniem. Syn ropuchy brzydszy był jeszcze od matki, chociaż bardzo do niej podobny. — Koak, koak, brekekkeks! — tyle tylko umiał powiedzieć, gdy ujrzał Odrobinkę.

— Nie mów tak głośno — szepnęła mu matka — obudzisz ją, i może nam uciec, bo jest lekka jak puszek. Trzeba ją przenieść na liść wodnej lilii, aż na środek strumyka, tam będzie jak na wyspie. A tymczasem przygotuj dla was mieszkanie w glebi błota.

Po powierzchni strumienia pływały zielone, okrągłe liście wodnych lilii, ropucha wybrała największy, który zarazem leżał najdalej od brzegu, i na nim umieściła lupinę orzecha ze śpiącą Odrobinką.

Kiedy dziewczynka zbudziła się rano i zobaczyła, gdzie jest, zaczęła płakać. Wokół była woda głęboka, ani sposób dostać się z listka do brzegu.

A ropucha tymczasem urządziła w glebi błota mieszkanie dla młodej pary. Przyozdobiła ciemną i szkaradną jamkę trzcina i wodnymi roślinami, ażeby się synowej podobala, potem popłynęła wraz

z synem do listka, aby przenieść kolebkę panny młodej.

Ujrawszy Odrobinke, ukloniła jej się w wodzie bardzo głęboko i rzekła chrapliwym głosem:

— Oto mój syn, mój panno, zamierza ożenić się z tobą, i właśnie urządzamy wam wspaniałe mieszkanie w głębi błota.

— Koak, koak, brekke-ke-keks — powiedział syn ropuchy.

Zabrali piękną kolyseczkę i odpłyneli znowu, a Odrobinka usiadła na liściu i płakała okropnie, bo nie chciała mieszkać w głębi błota i być żoną syna ropuchy.

Małe rybki, co pływały w wodzie koło listka, słyszały całą przemowę ropuchy, a teraz im przykro było słuchać płaczu dziecka. Więc wychyliły główki nad powierzchnię wody, aby zobaczyć młodą narzeczoną; ale na widok przeslicznej dziewczynki, tak im się jej żal zrobiło, że postanowiły ją obronić.

— Nie bój się — powiedziały — nie dostanie cię brzydka ropucha.

Zebrały się wszystkie razem dokola łodyżki, na której się trzymał listek, i przegryzły ją ostrymi ząbkami. Listek popłynął z prądem strumyka daleko, i ropucha już go dogonić nie mogła.

Odrobinka cieszyła się bardzo z tej podróży, wszystko bawiło ją niezmiernie: mijala wsie i miasta, laki, pola, lasy, a ptaki na gałęziach przyglądały jej się i śpiewały wesolo:

— Patrzcie, patrzcie tylko, jaka przesliczna dziewczynka! A jaka malusienka!

Odrobinka uśmiechała się do nich nawzajem, ale listek płynął dalej, aż do innego kraju.

Przesliczny biały motyl usiadł na listku lilji, aby się lepiej przyjrzeć małej dziewczynce. Słońce świeciło jasno, woda błyszczała jak srebro, wszystko jej się podobało. Zdjął swój pasek i przywiązała nim motyla do listeczka. Teraz popłynęła jeszcze prędzej.

Wtem — och, jak się przeleciała! Chrabaszczyk ogromny porwał ją z listka i unosił ją, wysoko, na drzewo!

Najbardziej żał jej było pięknego motyla, którego przywiązała do listeczka: jeśli się nie urwie, umrze chyba z głodu.

Ale niedobry chrabaszczyk nie troszczył się o to. Posadził ją wysoko na wygodnym liściu, przyniósł jej miodu z kwiatów i powiedział, że jest bardzo, bardzo ładna, chociaż niepodobna wcale do chrabaszczki.

Wkrótce zaczęły schodzić się inne chrabaszczki, mieszkające w pobliżu, aby zobaczyć Odrobinke. Gospodarz sadzał gości na najpiękniejszych liściach.

— Ach, jak ona biedna, ma tylko dwie nogi! — zawołała jedna młoda chrabaszczówna.

— A rozków wcale nie ma — dorzuciła druga.

— A jaka cienka w pasie! — Fe, podobna do człowieka.

— Szkaradna! — zdecydowały wszystkie razem.

Naprawdę Odrobinka była bardzo ładna i taka się wydała chrabaszczowi, który porwał ją z listka lilji, ale gdy wszyscy zaczęli ją ganić, uwierzył też, że jest brzydka i już chciał jej się pozbyć. Zaniósł ją więc na lake i posadził na polnym kwiatku, żeby tylko nie mieć jej w domu, i żeby sąsiedzi nie śmieli się z jego gustu.

Odrobinka płakała bardzo, że jest taka brzydka, iż chrabaszczyk nawet nie chce patrzeć na nią, ale cóż miała robić? Przecież naprawdę była bardzo ładna.

Cale lato przezyla malenka dziewczynka sama jedna w wielkim lesie; z trawy uplotla sobie wygodne lózcze i zawiesila je pod listkiem koniczyny, dla ochrony od deszczu. Zywila sie sokiem kwiatów, a pila rose, która stala kropelkami co rano na trawie, lisciach i kwiatkach.

Tak uplynelo jej lato i jesien, ale nadeszla zima, dluga, mroznazima. Wesole ptaszki odlecialy sobie do cieplych krajów, kwiaty powiedly, drzewa staly nagie, ogolone z lisci, nawet listek koniczyny, pod którym uczepila swe lózcze, zwiadl, skurczyl sie i opadl. Zimno jej tez bylo strasznie, bo sukienki zupełnie sie na niej podarly, a sama byla taka malenka i drobna. Zmarznie chyba.

Wkrótce i snieg zaczął padać, a każdy płatek sniegu znaczyl dla niej tyle, co dla nas pełna taczka, bo przeciez byla tylko odrobinka. Otulila sie w suchy listek, ale ten pekl zaraz, i znowu drzala z zimna.

Tuz kolo lasu rozciagalosie pole rozlegle, niegdys zbozem okryte: teraz zboze zżeto od dawna, i z pod sniegu wygladaly tylko nagie, suche zdżbła twardej słomy. Dla takiego malenstwa stanowily one las prawdziwy; dziewczynka przesuwała sie pomiedzy niemi, drzac z zimna, potykajac sie o grudki ziemi, lub zapadajac w snieg, niewiele grubszy od kozuszkana smietance.

Nakoniec doszla do mieszkania bogatej myszy polnej, która miała tu pod ziemią swoj norke. Ciepło tam bylo i bardzo wygodnie: izba obszerna, kuchnia i spizarnia pełna zboza.

Odrobinka stanela we drzwiach jak zebraczek i cieniutkim glosikiem poprosila o ziarnko zyta lub jeczmienia, gdyż od dwóch dni nic nie jadla.

— Biedne stworzenie — rzekla myszka litosciwie — chodźce do cieplej izby, zjemy razem podwieczorek.

Malenka dziewczynka podobala jej sie bardzo, to tez powiedziala do niej przed wieczorem:

— Mozesz zostac u mnie przez zime, tylko musisz mi zato utrzymywac porzadek i czystosc w mieszkaniu, a w chwilach wolnych opowiadac ciekawe historie, które niezmiernie lubie.

Odrobinka naturalnie zgodzila sie z najwieksza checia, i tym sposobem miała zapewniony dobry byt przez cala zime.

— Bedziemy mieli dzisiaj odwiedziny — rzekla mysz dnia pewnego — co tydzien odwiedza mnie bogaty sasiad. Ho, ho, to pan! Mieszkanie ma wieksze ode mnie, — co za salony! A chodzi w aksamitnym futrze. Gdyby sie z toba ozenil, zrobilabys los, moja droga. Tylko ze ślepy jest, nic nie widzi. Musisz mu opowiedziec najpiekniejsza ze swoich bajek.

Odrobinka nie troszczyla sie jednakze o to, czy sie podoba sasiadowi, który byl zwyczajnym kretem.

Zjawil sie wkrótce w swoim aksamitnym futrze, a mysz polna przyjela go bardzo uprzejmie. Byl niezmiernie bogaty i bardzo uczony; mieszkanie miał ogromne, dwadziescia razy wieksze od norki polnej myszy, i mógł mówic o wszystkim. Nie lubil tylko slonca i kwiatów, których nie widzial nigdy; zle tez miał o nich zdanie.

Odrobinka spiewala piosnke o chrabaszczu, a potem o chłopczyku, co gral na fujarce, i kret sie w niej zakochal. Nie mógł zapomniec jej glosu i myslal, jakby to bylo przyjemnie miec zone, która by mu tak spiewala. Ale nic o tem wszystkim nie powiedzial, gdyż byl bardzo przezorny.

Niedawno zbudowal sobie własnie nowy korytarz od swojego domu do mieszkania myszy i pozwolil obu damom spacerowac po nim do woli. Ostrzegal tylko, zeby sie nie przestraszily martwego ptaka, który tam lezy na srodku. Musial niedawno umrzec, bo jest jeszcze caly, z dziobem, z piórkami, — i pochowano go w tem samym miejscu, gdzie kret przekopal swój korytarz.

Zaraz nawet zapragnal pokazac to wszystko goscinnej gospodyni i milej spiewaczce, wzial

wiec w pyszczek kawalek spróchniałego drzewa i szedł naprzód, oswieczając im posępna drogę. Kiedy doszli do miejsca, gdzie leżał ptak martwy, podniósł nos w górę i odrzucił ziemię; przez otwór, który powstał tym sposobem, wpadł błady promyk słońca i oświetlił leżącą na ziemi jaskółkę. Biedactwo przytuliło do boków skrzydełka, nóżki skurczyło i schowało w piórka, główkę przechyliło gdzieś na bok, że nawet widac jej prawie nie było, i leżało sztywne, bez życia. Widocznie mróz ją zabił.

Odrobinie okropnie zał się zrobiło ptaszyni; wszystkie ptaszki lubiła bardzo zato, że w lecie tak słicznie śpiewają. Ale kret był innego zdania.

— Teraz już śpiewać nie będzie — rzekł, tracąc ją nogą pogardliwie — niedza to straszna urodzić się ptakiem. Dzięki Bogu, z moich dzieci żadne nim nie będzie. Cóż posiada takie stworzenie oprócz swego „kiwit! kiwit?” bez wartości? Przyjdzie zima i z głodu umiera.

— Bardzo rozsądne słowa — potwierdziła mysz poważnie. — I cóż ptakowi z tego śpiewu i swięgotu, kiedy nadejdzie zima? Marznie i głód cierpi. To nic wesołego.

Odrobinka nie wyrzekła ani słowa, ale kiedy się tamci odwrócili, pochylili się nad jaskółką, odgarnęła piórka i ucałowała ją w zamknięte oczy.

— Może to ona w lecie tak słicznie śpiewała nad moim listkiem koniczyny? — pomyślała sobie w duszy. — I tyle jej zawdzięczam przyjemności! Biedna, biedna ptaszyna!

Kret tymczasem zatknął znowu otwór ziemią i odprowadził damy do mieszkania.

Ale w nocy Odrobinka wcale nie mogła zasnąć: ciągle myślała o niezwywym ptaszku, jakby czuła jeszcze zimno. Podniosła się na koniec, uplotła cichutko ciepły dywanik z siana, wymknęła się na korytarz i okryła nim jaskółkę. Przyniosła jeszcze potem suchych kwiatków, które znalazła w norce, i podesłała je z boków ptaszekowi, aby mu cieplej było i wygodniej.

— Zegnam cię, piękny ptaszku! — rzekła ze łzami w oczach. — Dziękuję ci za wszystkie przesliczne piosenki, których słuchałam w lecie, kiedy drzewa były zielone, a kochane słońce tak jasno i ciepło świeciło. Och, zegnam cię!

I z płaczem przytuliła główkę do martwego ciała zmarzniętej jaskółki, — lecz w tej samej chwili podniosła się przestraszona: ptaszek żył jeszcze! Uczuła leciuchne bicie jego serca. Skostniał widac i zdrewniał od chłodu, a teraz pod wpływem ciepła przychodził do siebie.

Gdy w jesieni jaskółki odlatują do ciepłych krajów, zdarza się, iż niektóre słabsze lub zbyt młode nie mogą lecieć z nimi, sił nie mają. Zostają więc, ale padają od chłodu sztywnie na ziemię, śnieg je okrywa potem, i umierają.

Odrobinka drżała ze wzruszenia i strachu. Co ona pocnie teraz z takim wielkim ptakiem! Jak mu poradzi! A ratować go trzeba.

Nabrała jednak niedługo odwagi.

— Co tylko mogę, zrobię dla niej — rzekła — podzielę się tem wszystkim, co dostałam od litosiwej myszy. Ach, żeby tylko mogła ją ocalić!

Pobiegła znów do norki i przyniosła cały pek suchych kwiatków, miękkich niby wata, otuliła ptaszynę, jak mogła najlepiej, i przykryła ją liściem mietowym, który jej samej dotąd służył za kolderkę.

Następnej nocy wymknęła się znowu. Jaskółka już ożyła, ale była jeszcze bardzo osłabiona; z trudem otworzyła na chwilę powieki i spójrzała na Odrobinę, która stała z kawalkiem spróchniałego drzewa, bo nie miała innej latarki.

— Dziękuję ci, słiczne dziecko — rzekła słabym głosem. — Tak się tutaj ogrzałam! Wkrótce powróca mi siły i wylece znowu na jasne, ciepłe słońce.

— Och! — szepnela Odrobinka — niema teraz słonka jasnego! Zimno na swiecie, snieg okropny pada, nikt tam wyzyc nie moze. Zostan wiec lepiej w tem cieplem lóeczku, a ja pielegnowac cie bede, ile mi tylko sil stanie.

Przyniosla jaskólce wody na suchym listeczku; ptaszek sie napil i opowiedzial jej, jak to sie stalo, ze z innemi do cieplych krajów nie odlecial. Skrzydelko mial zranione o ciern ostry, wiec latac dobrze nie mógl. Potem przyszlo zimno, nie mógl znalezc pozywienia i upadl zmeczony na ziemie. A co sie dalej stalo, nie pamietal, — nie wiedzial, jakim sposobem dostal sie pod ziemie.

Przez cala zime dziewczynka troskliwie opiekowala sie biedna jaskólka, lecz musiala ukrywac swój dobry uczynek przed kretem i mysza polna, którzy nie lubili ptaszka.

Kiedy wrócila wiosna, i cieple słonko zaswiecilo znowu, jaskólka pozegnala Odrobinke, która otworzyla jej otwór w sklepieniu, starannie zatkany przez kreta. Natychmiast jasne i cieple promienie wsliznely sie do srodka i rozweselily posepne podziemie.

— Lec ze mna — rzekla serdecznie jaskólka. — Usiadz na mnie, a zaniose cie daleko, do zielonego gaju. Tam zyc bedziemy razem i bedzie nam przyjemnie i wesolo.

— Nie moze — odpowiedziala Odrobinka — byloby bardzo smutno myszy polnej, gdybym ja tak porzucila.

— Wiec badz zdrowa, kochana, dobra Odrobinko! — zaszczebiotala wesolo jaskólka i przez sloneczny otwór wzleciala ku górze i zniknela w cieplym blasku.

Dziewczynka zostala sama i dlugo patrzala za nia ze lzami w oczach. Tak polubila ptaszka!

— Kiwit, kiwit! — rozleglo sie znów nad otworem, ale cien tylko przemkнал i zniknal natychmiast.

Smutno teraz bylo malenkiej. Mysz jej nie pozwalala oddalac sie z norki, a dokola roslo zboze takie geste i tak wysokie, ze dla Odrobinki stanowilo las prawdziwy, w którym nie widac jasnego sloneczka.

Tesknila wiec do swiatla i do slonca.

— Winszuje ci, moja droga — rzekla dnia pewnego stara mysz z zadowoleniem — kret oswiadczył sie o twoja reke, i bedziesz pania, co sie zowie. Wielkie to szczescie dla takiej ubogiej dziewczyny! Trzeba tylko niezwlocznie zajac sie wyprawa, bo do takiego domu musisz wejsc zaopatrzona w bielizne i wszelkie ubranie.

I zasiadla Odrobinka do wrzeciona, a mysz najela jeszcze cztery duze pajaki, azeby przedly dla niej dniem i noca. Poczciwie sie zajela losem ubogiej sieroty.

Kret odwiedzal je kazdego wieczora i codziennie narzekal na palace slonce. Ono to zamienialo ziemie w pyl i kamien, a ludzie byli temu radzi i nazywali latem te nieznosna pore roku. Ale lato przeminie, przyjdzie jesien chlodna, i wtedy dopiero wyprawia wesele. Teraz o tem myslec nie warto.

Dziewczynka okropnie sie bala tej jesieni, bo nie miala ochoty zostac zona kreta. Taki nudny, niezgrabny, slepy; nie lubi slonca, kwiatów!

Codzien o wschodzie i zachodzie slonca stawala przed norka myszy i z tesknota patrzala w góre, gdzie szumialy klosy jak las gestego zboza. A ile razy wietrzyk je rozdzielil tak, ze mogla zobaczyc kawalek blekitu, ogarnial ja zal niezmierny, i myslala o szczesliwej, wesolej jaskólce. Jak ona buja swobodnie, daleko! Zeby ja znów zobaczyc choc na chwile! Ale zapewne nigdy jej wiecej nie spotka...

Jesien nadeszla wreszcie, i wyprawa byla gotowa.

— Za cztery tygodnie wesele — powiedziała mysz polna z radością.

Wtedy Odrobinka rozplakala się na dobre i przyznała się myszy, że nie chce być żona tego nudnego kreta.

Mysz rozgniewała się strasznie.

— A to co za głupota! — zawołała. — Słyszał kto coś podobnego! Radzę ci po dobremu, wybij sobie z głowy taki śmieszny upór, bo cie sama ukasze białymi zębami. Także grymasy! Taki bogacz, uczonec, o wszystkim mówić może! A futro aksamitne? Sama królowa nie ma podobnego. Kuchnia, piwnica pełne. Dziękuj Bogu za takie szczęście!

Nastąpił dzień wesela. Kret przyszedł po narzeczoną, aby ją zabrać do siebie. Odtąd będzie mieszkała głęboko pod ziemią i nie zobaczy nigdy więcej słońca, bo kret go znieść nie może. Biedna dziewczyna pochylała główkę i wyszła raz ostatni pożegnać świat Boży.

— Zegnaj mi, słonko złote! — zawołała i wyciągnęła rączki. — Zegnaj, słonko miłe!

Z jednej strony światło dziwnie przegła dało przez las złotych słomek, więc poszła w tę stronę kilka kroków i ujrzała, że zboże tu już zżęto, i krótkie źdźbła tylko wyglądały z ziemi. Ale słońce przeswiecało zato bez przeszkody, i widac było wszystko dookoła.

— Zegnaj mi, zegnaj, słonko! — powtarzała.

Objęła mały, czerwony kwiatusek i szeptała ze łzami:

— Pozdrów ode mnie jaskółkę, może zobaczysz ją kiedy. Pożegnaj ją ode mnie.

— Kiwit! kiwit! — rozległo się tuż nad jej główką. Podniosła oczy: jaskółka krążyła tuż nad nią.

Ucieszyła się bardzo, spostrzegłszy dziewczynkę i natychmiast usiadła przy niej. A Odrobinka zaczęła jej mówić, że ma zostać żoną szkaradnego kreta i mieszkać odtąd głęboko pod ziemią, gdzie słońce nigdy, nigdy nie dochodzi.

Przy tych słowach rozplakala się serdecznie.

— Nie płacz — rzekła jaskółka. — Zima już nadchodzi, i wybieram się w podróż do cieplejszych krajów; lec ze mną. Usiądziesz mi na grzbiecie pomiędzy skrzydłami i uciekniemy obie od brzydkiego kreta i ciemnego mieszkania. Uciekniemy daleko, za góry, za morza, gdzie słońce jasniej, cieplej jeszcze świeci, gdzie kwitną cudne kwiaty. Lec ze mną. Tyś mi ocaliła życie, gdy leżałam zziębnięta w ciemnym lochu, jabyś mnie chciała ocalić od kreta.

— Dobrze, polece z tobą — rzekła Odrobinka.

Jaskółka przytuliła się do ziemi, dziewczynka weszła na nią i przywiązała się paskiem do najmocniejszych piórek. Potem ptaszek wzleciał w powietrze i płynął ponad lasami, morzami, wznosił się ponad góry, wiecznym pokryte śniegiem. Tam było zimno, lecz dziewczynka skryła się pod skrzydło ptaszka i tylko mała główkę wysunęła, aby widzieć te cuda, jakich pełno na świecie Bozym.

Doleciały na koniec do cieplejszych krajów. Tutaj słońce świeciło jasniej i gorzej, niebo było wyższe i dziwnie błękitne, a po rowach i łąkach rosły najpiękniejsze, zielone i granatowe winogrona. W lasach było pełno cytryn i pomarańcz, w powietrzu zapach kwiatów; przesliczne dzieci biegały po drodze, goniąc się z motylami.

Ale jaskółka leciała wciąż dalej, gdzie jeszcze piękniej było, jeszcze cieplej.

Zatrzymała się wreszcie nad dużym, błękitnym jeziorem, otoczonym drzewami zielonymi, wśród których widac było biały pałac marmurowy. Wino oplatało wysokie kolumny wokół palacu, a w

górze pod dachem kryły się gniazda jaskółek.

— Oto mój dom — rzekł ptaszek. — Ale nie możemy mieszkać razem. Gniazdko nie jest urządzone odpowiednio, byłoby ci w nim ciasno, niewygodnie i za wysoko. Wybierz sobie lepiej który z tych wspaniałych kwiatów, co tu rosną na klombach, a od razu tam cie zaniosę i będzie ci dobrze, jak w raju.

Odrobinka klasnęła w dłonie.

— Ach, to będzie przesłicznie!

I wybrała wielki kwiat biały, otoczony kępą ciemno-zielonych liści. Jaskółka podfrunęła i posadziła dziewczynkę na błyszczącym zielonym listku. Odrobinka natychmiast chciała wejść do kwiatka, aby wypocząć po długiej podróży, lecz jakże się przestraszyła i zdziwiła, kiedy ujrzała wewnątrz małego człowieka, podobnego do siebie, tylko w złocistej koronie i z przejrzystymi skrzydłami u ramion. Ciało jego było także przezroczyste, jak gdyby z najpiękniejszego kryształu, czy jak dwie iskierki, a strój tak wspaniały, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie widziała.

Był to duch tego kwiatu, elf malenki. Każdy kwiatek w tym kraju miał takiego ducha, który w nim mieszkał; w jednych chłopcy, w innych dziewczynki; ale ten był królem elfów.

— Ach, jaki on przesłiczny! — szepnęła Odrobinka do jaskółki.

Malenki król przestraszył się wielkiego ptaka, lecz gdy ujrzał słiczną dziewczynkę, tak się ucieszył, że zapomniał zupełnie o strachu. Zdjął natychmiast z głowy swą złotą koronę, podał ją Odrobinie i zapytał, czy chce być jego żoną, królową wszystkich kwiatów?

To przecież coś innego niż szkaradny syn ropuchy, lub kret w aksamitnym futrze?

— Ach, czyż ja jestem warta być królową? — szepnęła zawstydzona Odrobinka.

— Jesteś warta, bo jesteś dobra, słiczna dziecko, inaczej nie pokochałby cię ten ptak wielki i nie przyniósł aż tu na skrzydłach. Kto umiał zdobyć przyjaźń jaskółki, ten go dzień zostanie królową elfów.

Cóż to było za szczęście!

Ze wszystkich kwiatów pojedynczo lub parami wyfruwały lekkie, przejrzyste duchy, i spieszyły złożyć królowej życzenia i cudne dary. Najbardziej ucieszyła ją jednakże para przezroczystych skrzydeł wielkiej muchy; zaraz je przywiązano do ramion dziewczynki i mogła, jak inne elfy, przelatywać z kwiatka na kwiatek. Cieszyła się tem niezmiernie.

A jaskółka siedziała na swoim gniazdeczku i śpiewała jej piosenkę weselną. Śpiewała jak najpiękniej, lecz smutno jej było, że się musi rozstać z Odrobiną.

— Nie będziesz się nazywała odtąd Odrobinka — przemówił mąż do królowej — nie podoba mi się to imię. Będziesz nazywała się Maja.

Przez całe lato jaskółka cieszyła się wielkim szczęściem młodej pary i śpiewała jej cudne piosenki, lecz przyszedł na nią czas odlotu.

— Bądź szczęśliwa! Bądź zdrowa! — powtarzała smutnie, wybierając się w podróż daleką.

I poleciała z powrotem do swego gniazda nad oknem człowieka, który wam opowiedział tę bajeczkę.

— Kiwit! kiwit! — zawołała.

I stąd znamy całą historję.

POLNY KWIATEK.

Posłuchajcie bajeczki!

Niedaleko od goscinca, za zielona laczka, stal drewniany dworek wiejski posród duzego ogrodu, otoczonego zielonemi sztachetami. Dworek wygladal bardzo ladnie wsród zieleni, na ogrodowych grzadkach kwitly najpiekniejsze kwiaty, a na laczce nad rowem, miedzy najbujniejsza, ciemno-zielona trawa zakwitl polny kwiatek o zlocistym srodku i sniezno-bialych platkach gwiazdzistej korony. Ciepłe, ozywczé slonce zlewalo nan promienie równie szczodre, jak na kwiaty ogrodowe, wiec skromna roslinka nie czula sie bynajmniej pokrzywdzona; nie myslala tez o tem, ze jej nikt nie widzi w trawie nad rowem, ze jest tylko nedznym kwiatkiem; — nie, polny kwiatek byl zadowolony ze swego losu, odwracal ku sloncu zlocista główke, patrzal w nie z miloscia, z wielka rozkosza pil swiatlo i cieplo i sluchal spiewu skowronka, wysoko unoszacego sie pod oblokami.

Szczesliwy byl kwiatek polny; — tak jasno, uroczyscie i pieknie dokola, chyba to swieto wielkie, — myslal sobie. A tymczasem byl to zwykly poniedzialek i wiejskie dzieci uczyly sie w szkółce, glosno powtarzajac za nauczycielem wyrazy i cale zdania. I polny kwiatek uczyl sie prawd wielkich o Bogu i Jego dobroci od slonca, od blekitu powietrza, od trawy zielonej, od wszystkiego, co otaczalo go dokola. I wdzieczny byl malemu skowronkowi, ze to wszystko tak pieknie wyspiewal tam w górze, co on czul tylko niejasno, w milczeniu. Spojrzal na ptaszka z niesmialym podziwem i ogromna miloscia: on tam buja wysoko, swobodny, rozglosny, umie wyrazic, co czuje! W sercu polnego kwiatka nie bylo zazdrosci lecz wielka czesc dla skowronka.

— Bóg jest dobry dla wszystkich — myslal sobie — pozwala mi widziec te cuda i slyszec piesni niebianskiego ptaka, slonce ogrzewa mie i poi swiatlem, wiatr piesci i caluje. Jakiez to hojne dary!

W ogródku za sztachetami bylo wiele kwiatów pieknych, wspanialych i dumnych, a te pyszniły sie najbardziej, które najmniej mialy zapachu. Piwonje nadymaly sie, jak mogly, i stroszyly jaskrawe platki swoich koron, aby sie wydac wiekszymi niz róze. Nie od wielkoscí jednak zalezy wartosc rosliny. Różnobarwne tulipany staly wysokie, sztywne i wyprostowane, polyskujac wyniosle zlotem i purpura. Rozumie sie, iz w strone laki zaden z nich nie raczyl spojrzec, a polnym kwiatkiem pogardzaly z duszy; ale on patrzal na nie z podziwem, z zachwytem.

— Jakiez one piekne! — myslal sobie znowu. — To dla nich pewno spiewa tam w górze skowronek; ach, pewno dla nich zniza sie teraz ku ziemi, chce zobaczyc je z blizka. Jak to dobrze, ze wyroslem niedaleko i moge im sie przyjrzec, a dzieki im zobaczyc milego skowronka! O, Bóg jest dobry!

Wtem — kiwit! kiwit! — i malenki, szary ptaszek usiadl na lacy, na zielonej trawie, tuz obok polnego kwiatka! Cóż to byla za radosc!

A skowronek skakal po trawie dokola i szczebiotal: — Jak tu slicznie, jak miekko, jak zielono. A to co za kwiatuszek ze zlotem serduszkciem, w srebrzystej sukni? Podobasz mi sie, kwiatku, bardzo jestes ladny.

Niepodobna wypowiedziec, jak szczesliwy byl wtedy kwiatek. Ptaszek dotknal go malym dzióbkiem, zaspiewal mu cos slodko, zaswiergotal i znów ulecial w blekitne niebiosa.

Uplynelo zapewne z pół godziny, zanim kwiatek ochlonal ze wzruszenia i niesmialo spojrzal na kwiaty w ogrodzie: one przeciez musialy widziec jego szczescie, co mówia na to? Czy ciesza sie z nim razem?

Lecz tulipany staly sztywne i wyprostowane, dumne jak pierwej, a piwonje pogardliwie odwrócily sie w strone przeciwna. Cale szczescie, ze nie mogly nic powiedziec, bylby sie biedny kwiatek nasluchal rzeczy nieprzyjemnych. Tymczasem spostrzegl tylko, iz sa w zlym humorze, i bylo mu to przykro.

Na sciezce w ogródku ukazała się dziewczynka, — miała w reku nóż ostry i scinała nim dumnie tulipany jeden po drugim, składając je następnie do fartuszka.

Polny kwiatek aż zbladł z przerażenia.

— To okropne! — szepnął sobie w głębi duszy. — Otóż i po nich! Takie piękne kwiaty! Co za szczęście, że ja nie rosnę w ogrodzie, że jestem mały i ukryty w trawie.

Dziewczynka z tulipanami zniknęła od dawna, a on jeszcze zapomnieć nie mógł o ich smutnym losie. A zarazem był wdzięczny Bogu, że go nie uczynił wielkim i wspaniałym. Nakoniec, gdy słońce zaszło, stulił białe płatki i zasnął cicho, marząc aż do świtu o skowronku, słońcu, blekocie i piękności świata.

Nazajutrz obudził się kwiatek szczęśliwy i wyprostował swoje białe płatki, kapal je w świetle, w czystym i ciepłym powietrzu. Wtem usłyszał głos znany, słiczny głos skowronka, lecz czemu dzisiaj smutny? I skąd płynie? Nie z góry, niema w obłokach wdzięcznego śpiewaka, — w ciasnej klatce zamknięty, wisi w otwartym oknie i śpiewa, płacze głosem. Śpiewa o swobodzie, o dniach szczęścia, kiedy unosił się wolny, wesół i patrzył z góry na pola, młodem zbożem okryte; śpiewa o kwiecistych łąkach i złotych niwach, które wiatr kołysze, o pięknym, pięknym świecie.

O, nic dziwnego, że smutno było skowronkowi, on na to z wysokości już patrzeć nie może.

Słyszac to, kwiatek posmutniał zupełnie, — zapomniał o słoneczku, o błękitnym niebie, miłym wietrzyku i trawce zielonej, o niczem myśleć nie mógł, tylko o skowronku. — Biedny, o, biedny ptaszek! I jak mu dopomóż? Jak mu osłodzić dole?

Nic, nic nie mógł wymyślić kwiatek polny, i było mu tak smutno, jak więźniowi w klatce.

Tymczasem wyszło z ogrodu dwóch chłopców; jeden z nich miał w reku duży nóż błyszczący, podobny do tego, którym dziewczynka wczoraj ścięła tulipany. Zatrzymali się niedaleko rowu i zaczęli rozmawiać:

— Tutaj jest bardzo piękny kawałek murawy dla skowronka — rzekł jeden i pochylił się, aby wyciąć nożem czworokątny zielony kobierczyk. Polny kwiatek stał zdziwiony w środku tego kwadratu.

— Wyrwij ten kwiatek — odezwał się drugi.

Zadrzał kwiatek: ma umrzeć? On żyć teraz pragnie, żeby razem z murawą dostać się do klatki uwiecznionego ptaszka.

— Nie trzeba — odparł pierwszy — bardzo tu z nim ładnie, niechaj sobie zostanie.

I został kwiatek polny wśród zielonej trawy, która wysłano klatkę niewolnika.

Biedny ptaszek uskarżał się ciągle na krzywdę, wołał, aby mu zwrócono swobodę, bił skrzydełkami o żelazne pręty ozdobnej klatki. Kwiatek patrzył na to, lecz mówić nie mógł, nie umiał pocieszać przyjaciela.

Tak pół dnia upłynęło.

— Wody tutaj niema — zaczął się skarżyć ptaszek. — Ani kropli wody! Wszyscy sobie poszli i nie zostawili mi nawet czystej wody na ochłode. W gardle mi zaschło, czuję ogień w piersi, brak mi powietrza, oddychać nie mogę, — duszno, — umieram. O, jak smutno żegnać ciepłe i jasne słońce, świeżą trawkę i cały świat piękny, szczęśliwy, który Bóg stworzył! Niedobrzy są ludzie!

Usiadł na spodzie klatki, na murawie, aby ochłodzić trochę rozpalone ciało na świeżej, wilgotnej trawce. Wtem spostrzegł polny kwiatek. Uśmiechnął się do niego i gorącym dzióbkiem dotknął srebrzystych i chłodnych płateczków.

— I ty uschniesz w niewoli, biedaku — rzekł smutnie. — Ciebie i ten mały kawałek murawy dano mi za świat cały odebrany. Ale czyż mi zastąpisz, ty kwiateczku mały, wszystkie laki pachnące? Patrzac na ciebie, widze tylko coraz lepiej, jak wiele miałem, jak wiele straciłem!

— Ach, zeby mógł go pocieszyc choc słówkiem — myślał kwiat polny — ale nie mógł nawet poruszyc zadnym płatkim swej korony. Tylko zapachem, silniejszym niz zwykle, wyrażał najserdeczniejsze współczucie. Zauwazył to ptaszek, i chociaż dreczony pragnieniem skubał zielona trawke i lamal wilgotne zdzielka, nie dotknął jednak kwiatka.

Wieczór sie zbliżył, ale nikt nie przyszedł, nikt nie podał kropli wody skowronkowi. To też osłabił zupełnie, skrzydelka jego drgnęły kilka razy, wyprostował sztywne nóżki, jeszcze ostatni raz chciał sie odezwac, lecz z gardziolka wybiegło tylko kilka słabych i smutnych dźwięków, — potem zamknął oczki, główka opadła na miękka murawę, a serce bic przestało. Ptaszek nie żył.

Polny kwiatek pochylił nad nim złota główkę, nie stulił białych płatków, jak wczoraj wieczorem, lecz je zwiesił bezwładnie, żalśnie ku ziemi.

Na drugi dzień dopiero wbiegli do pokoju chłopcy, a zobaczywszy niezwywego ptaszka, głośno płakać zaczęli. Potem wyprawili mu pogrzeb wspaniały. W pięknym czerwonym pudelku złożyli go w ziemi, w ogrodzie, i grób ozdobili pięknymi kwiatami. Za życia zapomniano o nim, cierpieć musiał głód i niedzę, lecz po śmierci oddawano mu królewskie holdy, a mogile jego oblewano łzami.

Polny kwiatek wraz z kawałkiem pozółklej murawy wyrzucono na drogę. Nikt nie pomyślał o nim, nie pamiętał, nie troszczył sie o tego, który przez całe życie kochał boskiego śpiewaka, a w godzinie śmierci osładzał mu ostatnie chwile.

K O N I E C.

[The end of *Dziecie elfów*; *Polny kwiatek* by Hans Christian Andersen]